

# NAD WODĄ

---

Jakoś nie wiodło się rybakom z Kruszyny w tym roku. Najpierw stracili sieci Wojciech i Antoni Palenice, trafili na wrak i podarli, ściągnając je, na strzepy. Ciągłe jeszcze trafiają się na łowiskach ponemieckie wraki, strasząc rybaków. Na zebraniach godzinami rozprawiano o ostatecznym oczyszczeniu z nich Zalewu i ujścia Odry, a choćby dokładnym oznakowaniu, ale lata mijały i kończyło się na projektach, bo Urząd Morski miał ważniejsze sprawy nie załatwione, a inne Centrale i Delegatury nie kwapiły się z finansowaniem podobnie kosztownych prac. Na codzień sprawa zacichała i dopiero gdy nowe nieszczęście w kogoś ugodziło, gadania i żale wybuchały z nową siłą. Tym razem trafiło na Palenieców, zbiednieli jednej nocy, bo sieci były nowe, wzięte na kredyt ostatniej zimy. Zaraz potem przepadła sieć Zakrzewskiego, ale tu były inne przyczyny i cała historia przyschła natychmiast, bo Ernest Kąkol posmarował gdzie trzeba. W zaufaniu, po cichu, naoczni świadkowie opowiadali, że kuter Ernesta zaczepił sieć, ciągnąc trawler niedozwoloną drogą, szlakiem sieci zastawnych, a w kilka dni po wypadku znaleźli się i tacy, co przywieźli aż z pod Świnoujścia bojki i sznury Zakrzewskiego. Nikt jednak nie odważył się publicznie oskarżyć sekretarza Gminnego Komitetu PZPR, bogacza i chciwca, bo niejednego trzymał w garści, a i z tym się nie krył, że umiał być mściwy i ramię miał długie przez celników, wopistów i przycajonych po osadach konfidentów UB<sup>1</sup>. Ano, miał Zakrzewski sieci, nie ma...

Temu się popsuł motor, temu lody uszkodziły łódź, tamtemu spaliło się obejście, ludzie nie mogli się wygrzebać z długów po długiej zimie. Na domiar złego rozniosło się nad Zalewem, że wszystkim indywidualnym rybakom podniosą podatki i skasują kredyty i pożyczki, a mienie niewypłacalnych przejmą Spółdzielnie. Co prawda, podobne gadki krążyły od dawna, ale nikt sobie tym zbyt głowę nie zaprzętał, aż tu gazety i radio ogłosiły nowe ustawy i podały terminy.

Te własne, najbliższe kłopoty i troski odwróciły, na jakiś czas uwagę Kruszyniaków od osoby Jana Orzepy. Orzepa, młody, atletycznie zbudowany blondyn z białymi, ostrymi jak u wilka zębami, zawsze uśmiechnięty drwiąco przymilnym uśmiechem, gładko wygolony, ostrożny w mowie, przywędrował do Kruszyny przed trzema laty i od razu wzniecił wokół siebie szczególny niepokój. Zaczęło się od sprawy mieszkania. Wzdłuż Kościelnej, na Zarzeczcu, na Wolińskiej, gdzie kamieniem rzucisz, każdy był gotów odnająć jedną czy dwie izby sublokatorowi, który chciałby płacić przez cały rok, bo nawet w lecie niewielu było chętnych spędzać urlop w zaniedbanym rybackim osiedlu bez plaży, a choćby i kina czy kawiarni, ale Orzepa upatrzył sobie piętrowy drewniak Jaskólskich. Tylko ten mu się podobał. Z ogródkiem pełnym kwiatów od frontu, z okiennicami malowanymi na czerwono i żółto, ogrodzony siatką z blaszaną chorągiewką na dachu. Jaskólski żył z renty inwalidzkiej, dorabiając pisaniem ludziom podań do urzędów, bo jako dawny pisarz sądowy znał się na tym, jak nikt w okolicy. W Kruszynie osiedlił się zaraz po powrocie z obozu, w 1946 roku. Orzepa zabiegał, deptał, kusił, obiecywał Bóg wie co, aż mu Jaskólski odnajął pięterko. Przez miesiąc było cicho, ale zaraz potem sublokator pokazał rogi, przede wszystkim odmówił płacenia komornego, następnie zaczął jeździć po urzędach, dzielić, grodzić, grozić, chlustać z góry pomyjami na gospodarzy i ich znajomych, rozbierać ściany, rąbać drzwi, wyłamywać zamki, sobaczyć. Zmaltretowani Jaskólscy usiłovali się bronić: wnieśli sprawę do sądu powiatowego w Szczecinie, wzywali milicję, Jaskólski pisał prośby i podania. Orzepa śmiał się głośno i wygrażał: – Już ja was urządzę, ścierwa przeklęte. I rzeczywiście: najpierw przyszło urzędowe pismo z Wydziału Rent o cofnięciu pensji inwalidzkiej Jaskólskiemu na

---

<sup>1</sup> Urząd Bezpieczeństwa/po reformie w 1956 [Służba Bezpieczeństwa](#)

skutek ukrywania przez niego przed urzędem pobocznych zarobków z „prowadzonego nielegalnie od lat biura prawniczego bez licencji i kwalifikacji” i wezwanie do sądu w tej samej sprawie, później zjechał do Kruszyny prokurator by wszczęć dochodzenia w sprawie: „ob. Jaskólskiego oskarżonego o niedozwolony handel walutami, wrogi stosunek do rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, słuchanie i rozsiewanie oszczerczych wiadomości przez radio Wolna Europa, nakłanianie innych do słuchania tegoż... itd.... itd.”

Teraz wypadki potoczyły się szybko. Jaskólską odwiozło pogotowie do szpitala dla nerwowo chorych do Szczecina, a Jaskólski, po długiej, widać bezowocnej rozmowie z drugim sekretarzem Komitetu Powiatowego w Trzebieży, pojechał szukać sprawiedliwości do KC do Warszawy. Pojechał i nie wrócił. Jedni mówili, że się powiesił w poczekalni Dworca Głównego, inni, że umarł na zawał serca w hallu Domu Partii, jak było naprawdę nie dowiedziano się nigdy. Orzepa zajął cały dom, przemaalował okiennice na niebiesko, do furtki dorobił klucz.

– Ki diabeł? – ludzie woleli nie nasuwać mu się na oczy. Jedno było pewne: z rybactwem nie łączyło go nic. Co go przyniosło do Kruszyny? Płatał się koło koszar WOP-u, przesiadywał na posterunku M.O. uczył jeździć na motorze radzieckich żołnierzy stacjonujących w Wolinie gdzie spędzał dwa dni w tygodniu.

– Tu siedzieć nie będziemy – opowiadała jego matka, kłótniwa, harda baba, nie na to syn kształcony, on ma głowę do interesów, a tu samo dziadostwo, aż mnie mgli. My z Wilna, w Kobylniku mieszkałam, służbowo, mąż wyższym oficerem był, bolszewiki go zamordowały – nie ściszała głosu, mam ich trzech, znaczy się synów, każdy jeden kierowcą jest, najpierw wzięliśmy gospodarkę w Drawsku, ale i tam sama hołota, później Jasiu w firmie instruktorem był, i wyścigi wygrał, zawsze, na całym świecie, bo on stale zagranicę jeździ służbowo... nikt jej nie przerywał i nie dopytywał o szczegóły, bo strach przed prowokacją stał się dzisiaj niejaką drugą naturą, ogromnej większości ludzi. Orzepa kręcił się, wypatrywał okazji, handlował częściami motorów, benzyną, szukał kontaktów z rybakami, wyłudził nawet wiosłową łódź od Ernesta, ale na połowy nie wypływał. Chodziły słuchy, że miał jakieś kombinacje z Niemcami przez żonę Urszulę, Niemkę z pochodzenia, inni wiązali go z UB i to nie – miejscowym, ale w województwie, a nawet z Warszawą, jedno było murowane, był kuty na cztery nogi i miał pieniądze, i to dużo i nie liczył się z nikim, był bezkarny.

Tego poobiedzia niektórzy przyszli na zebranie prosto z wody. Świetlica była pełna ludzi. Zagał delegat Zjednoczenia Rybaków ze Szczecina. Mówił skąpo zdartym głosem. Anastaziuk siedział blisko drzwi i nie bardzo słuchał. Był zmęczony nocnym połowem, oczy piekły go nieznośnie, obolałe plecy i stopy automatycznie szukały możliwie wygodnego oparcia. Obok siedział Antoni Palenica, głowę przekrzywił na lewe ramię i pilnie wytrzeszczał na mówiącego, jasne, z natury nieco wyłupiaste oczy. Za stołem, obok delegata siedzieli: Ernest, Stanisław Raczek inspektor Urzędu Morskiego i sekretarz komitetu powiatowego z Trzebieży – Małeta. Ernest zaczął czytać protokół ostatniego zebrania: „...obiecane przez bank pożyczki dla rybaków na remont i zakupienie łodzi, na razie nie zostały załatwione. Przy wykupie Karty Rybackiej każdy wiosłowy i każdy kutrowy musi złożyć w Zjednoczeniu odpowiedni okólnik podpisany przez miejscowy urząd gminy czy powiatowy... nowa Ustawa o stopie podatkowej i terminach spłat wejdzie w życie...” Anastaziuk poruszył się żywo i zaczął kasłać. Rozkaszał się na dobre. Powietrze świetlicy było niebieskie od dymu papierosowego, ciężkie od smrodu ryb przyniesionego w ubraniach rybackich, w ich włosach i skórze, mdłe od oddechu i potu zgromadzonych ludzi.

Drugim punktem porządku dziennego było sprawozdanie komisji cennikowej z rozmów z Centralą Rybną.

– Ceny, płacone rybakowi, muszą być utrzymane, bo ewentualną nadwyżkę rząd musi przeznaczyć na wzrastające koszty transportu – zaczął Małeta, ale natychmiast przerwał mu któryś z sali:

– Co tu mówić i opowiadać. Ceny dla rybaków podniesione być muszą. Cóż to, Centrala Rybna w Szczecinie, to już koniec świata?, a Warszawa, a ministerstwa? Trzeba zabiegać aż do skutku i co to za kombinacja z tym transportem, dwadzieścia lat radzą i niczego nie wymyślili, dlaczego ryba z punktów skupu nie wędruje do sklepu, i prosto stamtąd do tego, kto chce ją kupić na obiad, ale zaczyna podróże naokoło świata? Do Warszawy sobie jedzie, a może do Krakowa – cholera ją wie, bo tam są składy główne, magazyny, i dopiero zasmrodzona, według przydziału, wraca do Szczecina czy Gdyni? Do Ustki, Trzebieży, albo i Kruszyny?

– Cicho!

Ktoś zaklaskał. Kilka głosów przekrzykiwało się równocześnie:

– Święta prawda, dopiero jak znoją towar to go dzielą,

– a co by robili panowie kontrolerzy, inspektorzy, komisje, konwojenci?

– a chłodnie? Co z ryby robią te ich ważne chłodnie? Cuchnie to amoniakiem, że aż mdli,

– ja się tylko chciałem dowiedzieć, co za niewola, rybę do Centrali za pół darmo oddawać, z handlarzem można się potargować a tu masz cennik i jeszcze sortowania się czepiają – sala szemrała przytakiwaniem, Małeta siedział osowiały.

– Cicho – huknął swoje Ernest – ryby muszą być tanie, na tanie ryby czekają towarzysze robotnicy, i pracujące chłopstwo. Nie o ceny tu chodzi, ale o zwiększenie wydajności pracy, ja tu wam zaraz pokaże, przeczytam, dlaczego rybak ma obowiązek oddawać ryby do Centrali, czym byliśmy obywatele towarzysze przed rokiem 1945 a czym jesteśmy dzisiaj? Pochylił się nad stołem i przegarnął papiery, ale widocznie nie znalazł wśród nich tego, czego szukał, bo sięgnął do teczki z jasnożółtej świńskiej skóry, którą sobie niedawno sprawił i potrząsnął „Trybuną Ludu” – o, właśnie: „Fali demonstracji niektórych środowisk studenckich postawiła tamę klasa robotnicza...”, nie, zaraz... „rewizjonizm...” zaraz, zaraz... o, mam:... „Już blisko ćwierć wieku partia nasza – marksistowsko-leninowska, partia klasy robotniczej i mas pracujących – kieruje Polską Ludową, powiedział na V Zjeździe tow. Gomułka” ... cicho tam! Słuchajcie, bo inaczej z wami pogadam!... „dwadzieścia cztery lata socjalistycznego budownictwa przyniosły dynamiczny rozwój ekonomiki, spowodowały doniosłe przeobrażenia społeczne narodu polskiego. Wyrazem tego jest uzyskanie przez naszą gospodarkę w roku 1968 ponad **czterokrotnie** wyższego niż w roku 1938 dochodu narodowego, ponad 13 razy większej globalnej produkcji przemysłowej nie licząc rzemiosła oraz 1 przecinek 6 raza wyższej produkcji rolnej mimo zmniejszenia się o ponad 23 proc. powierzchni użytków rolnych. Są to jedne z najważniejszych wskaźników w Europie rozwoju ekonomicznego w stosunku do stanu sprzed wojny...”<sup>2</sup> Dukał jeszcze przez dobry kwadrans, potykając się na trudniejszych słowach, o wzrastającym dobrobycie mas i podnoszącym głowę rewizjonizmie i jego zapleczu – syjonistach, aż skończył i przeszedł do własnych konkluzji: – Czepiacie się tutaj Centrali, że za mało płaci za rybę, a czyja jest Centrala? A czyje są ryby? Państwowe, rządowe, znaczy, rozumiesz jeden z drugim? Że jest zysk na twoim łowieniu? Ale rząd nie chowa zysku do kieszeni, toć macie tę świetlicę i wszystko, i kino objazdowe co i raz do Kruszyny zajędzie i każdy może się kształcić na inżyniera, albo doktora, albo iść na szkołę Rybołówstwa Morskiego, bo są kursa dla pracujących w Szczecinie, i chlebem na wsi świnię karmią, i domy macie, i wszystko...”

Zwolna zapadał zmierzch, zadymione powietrze świetlicy pociemniało, co bliżsi drzwi wysuwali się jeden za drugim. Zakrzewski popatrzył na zegarek i kiwnął na Palenicę – no nas to już czas, Antoni, – ruszyli ku wyjściu, Ernest przestał mówić, żeby przeczekać hałas, ale już go inspektor Raczek pociągnął za rękaw i naszeptował z bliska:

– przejdźcie, towarzyszu, od razu do LENINA, bo się nam wszyscy rozleżą

---

<sup>2</sup> Władysław Gomułka „Referat na V Zjeździe PZPR-u. Listopad 1968r.

– to może wy? Proszę bardzo – sekretarz usiadł zły, że nie tak poszło, jak sobie obiecywał, chciał takich synków postraszyć, a ci jeszcze z pyskiem, a i do Raczka miał szczególnego ansa

– Towarzysze i obywatele, zapał dyszkantem inspektor, a teraz najważniejszy punkt dzisiejszego porządku: zobowiązania rybaków dla uczczenia wielkiej rocznicy Wielkiego Lenina. Cała Polska, jak długa i szeroka przystąpiła już do przygotowań do tej pięknej i wspaniałej akcji, czy ma w niej zabraknąć rybaków? Was z nad Zalewu? Towarzysze i obywatele, władze partyjne napewno się nie zawiodą na was. Wchodzimy w ROK LENINOWSKI zbrojni w świadomość klasową, podnosimy wydajność pracy na każdym odcinku. Proponujemy połowy dodatkowe, podniesienie norm w sieciarni, pomoc kobiet przy sortowaniu, a można przy tym zatrudnić i starszych uczniów szkolnych. Towarzysze, obywatele, ROK LENINOWSKI to wielkie i radosne święto dla każdego człowieka pracy na całym świecie, na tę chwilę wielką i radosną czekaliśmy **sto lat**, towarzysze! Wszystko co mamy – mamy z Lenina, z jego genialnej myśli. Idee Lenina są do odnalezienia we wszystkich siłach działających do dzisiaj w procesie uszczęśliwienia jednostki. Te jego wskazania nabierają dzisiaj szczególnego znaczenia, kiedy podnosimy i rozszerzamy naszą bazę gospodarczą, kiedy nasza stopa życiowa się podnosi z dnia na dzień. Dotyczy to i rybaków, rzecz jasna, rybactwo to ważna dziedzina naszego przemysłu, to nasze dewizy. Podawajcie wnioski, towarzysze, deklaruście! Towarzyszu Sekretarzu Małeta, protokołujcie! –

Ernest głośno utarł nos, był wściekły – a to się wyuczył lizuch – pomyślał o Raczku, z którym od dawna się nienawidzili.

Anastaziuk podniósł rękę.

Raczek zapraszał go do stołu – bliżej, obywatelu, bliżej, co proponujecie? mówcie śmiało! – Na Sali zrobiło się bardzo cicho. Ludzie przyglądali się Anastaziukowi z niemętym zdziwieniem, bo znali go, jako samotnika i mruka, a też i takiego, co się nigdy specjalnie nie nadstawiał dla partii i rządu. Rybak powoli, z widocznym trudem dźwignął się z ławki, zastukał drewnianymi trepami, wyprostował.

– Co do tych zobowiązań, to już tam władza o nich pomyśli i nam nakaże, ale ja chciałem o czym innym, a dla nas ważnym. Zima była ciężka, nowe ustawy są twarde...

Ernest wstał, odsuwając krzesło z hałasem – kończcie już swoje żale, bo nie o tym się teraz radzi – zawołał – ale Anastaziuk jakby go nie dosłyszał ciągnął swoje – Niejeden sieć stracił i pożar go zrujnował, a tu jeszcze i takie przyszły kłopoty... ktoś z haków i więcierzy ryby wybiera. Złodziejstwo się u nas zagnieżdżyło. Musimy wspólnie poczynać, bo złodziej jest chytry –

– prawda, prawdę mówi,

– trzy nocki wstecz obrobił mnie jakiś s-syn do czysta,

– a Greczukowi co się przygodziło?

Wspólna sprawa znowuż ożywiła zebranych, ale nikt już nie myślał o wnioskach dla uczczenia Wielkiego Roku Wielkiej Rocznic. Zaczęli głośno opowiadać o tym, co się, komu ostatnio przydarzyło i obmyślać pułapki na chytrusa. Anastaziuk wiedział co mówi. Coraz częściej i jawniej krążyły po osadzie wieści, że ktoś ryby podbiera. Co poważniejsi rybacy długo nie chcieli w to uwierzyć – jakże to, na takie draństwo by się ten czy ów puszczał?, choćby tam nie wiem jakie ladaco był, na to chybaby nie poszedł – powtarzali uparcie – bo pradawny rybacki obyczaj wymagał od ludzi żyjących z wody, bezwzględnej solidarności i wzajemnej uczciwości. Rybacy w Trzebieży, Jasienicy, Nowym Warpnie, w Wolinie, Dziwnowie, we wszystkich osadach nad Zalewem, nad jeziorami i ujściami rzek, choć przywędrowali na ziemie zachodnie z czterech stron świata, często od pługą czy warsztatu, przyjęli ów obyczaj za własny, i jak dotychczas do głowy nikomu nie przyszło by go deptać. A tu naraz, u nich w Kruszynie... Zaczęli się podejrzewać, śledzić, rosły gniewy i urazy, chociaż nikt nikogo za rękę nie złapał.

Pogoda była ciągle wietrzna, szczególnie nocą na wodzie szumiała sztormem, mimo to część Kruszyńaków przyciśniętych biedą, nie oglądając się na niebezpieczeństwo, ciągnęła na połowy. Tak było i z Anastaziukiem, który z zarobków u Ernesta musiałby razem z żoną i pasierbem głodem przymierać. Jakoś w tydzień po zebraniu umówił się z Antonim Palenicą. Haki mieli gotowe, tylko nadzieć żywca i zarzucać. Wymacali ostatnie dobre łowisko w górze rynn. Było późno, wiatr przyczajony w dzień na środku Zalewu, przyleciał teraz na brzeg między rzadkie drzewa i kotłował nad całą zatoką. Nim wyruszyli noc się zrobiła zupełna. Na pamięć okrążyli wyspę i ciągle spychani wypłynęli z trudem w górę kanału. Fala była wysoka i co raz przelewała się przez burty. Nie mówili do siebie, bo wiatr i tak połknąłby każde słowo. Światła na brzegu podobne były do coraz mniejszych zastygłych gwiazd wbitych w ciemność. Łódź spadała w dół i wyskakiwała gwałtownie w górę, zalewając ich lodowatą wodą. Po omacku wyrzucili sznur i bojkę, zaraz też zniosło ich prawie pod drugi brzeg. Mimo wysiłków, niczego nie można było dojrzeć, światła łądu zniknęły, tyle że miejsca były z dawna znajome, po wielekroć wymierzone wiosłem, wyczuwali je instynktem, powoli wyciągnęli się w pobliże obszernej łachy, zarzucili kotwice na płytkim piaszczystym dnie i postanowili z uwagi na wiatr i ciemność przeczekać w łodzi do świtu.

Na mieliźnie fala była słabsza, ale i tu łódź szarpała się, jakby ją ktoś nieustannie próbował zepchnąć na głębinę. Usiłowali drzemać, ale chłód i wilgoć przenikały do szpiku kości i płoszyły sen. Jak okiem sięgnąć panowała pełna niepokoju noc, czas mierzony czekaniem ciekł wolno. Wreszcie czern zaczęła tracić swą jednolitą intensywność, w pewnej chwili, niedostrzeżenie, wiatr mruknął w głąb wody, przepadł, łódź znieruchomiła. Postanowili więc podpłynąć do wyspy i tam, w wiklinach, przespać ze dwie godziny. Palenica wybrał kotwice i ruszyli. Było cicho i pusto, nawet rybitwy jeszcze spały pozapadawszy w przybrzeżne krzaki, tylko sosny rozrzucone na wydmach występowały coraz wyraźniej z tła niby cienie wyznaczające granicę młdego szarości nieba i wody. Dniało. Naraz z zatoki przyniosło głos, usłyszeli go obydwoj, ale nie zwrócili nań szczególnej uwagi, Anastaziuk przysiadł na dziobie z wiosłem na kolanach, bo już fala sama donosiła ich do brzegu. Do najbliższej kępy wikliny było ze dwadzieścia kroków, zeszywniałe nogi stąpały powoli. Ułożyli się ciasno, otulając brezentem: tymczasem głos na wodzie rósł, rybackie, czujne ucho nie mogło się mylić, Palenica zgadywał, kto by tak wcześniej wypłynął, ale nie odzywał się z tym do Anastaziuka, bo wiedział że stary nie lubi gadania, jak mu się chce spać. Wyraźny plusk wiosła teraz przycichł, jest ale ten chyba od strony Wolina, tak, to muszą być dwie łodzie, płyną z dwóch stron do zatoczki na południowym krańcu wyspy, muszą być blisko bo słychać każde zanurzenie wiosła. I Anastaziuka zaciekawili wcześni rybacy, a że sen go odbiegł, postanowili pójść im naprzeciw. Nie spiesząc się ruszyli na ukos rzadkim lasem. Była przedrana godzina zamierania nocy, niebo jeszcze bez śladu słońca wydawało się twarde i wystygłe, woda miała barwę ołowiu, w gałęziach sosen zaćwierkał lekliwie pierwszy ptak i umilkł natychmiast. W tym miejscu brzegu urywał się gwałtownie, opadając ku wodzie piaszczystym stokiem, zatrzymali się, w dole, w niewielkiej zatoce stały dwie łodzie dotykające się burtami, i ludzi było dwóch, mówili o rybach, że „drobne”... a węgorz „cwany, psia jego mać”, i że „jeszcze nie sezon, w sezonie całkiem inna kalkulacja i opłacalność...”. Słów było skąpo i tylko niektóre donosiło na górę. Już Anastaziuk otworzył usta by zawołać: – a który to zdążył już węgorza nałapać? – Gdy nagle pojał, o co chodzi, i Palenica się połapał, bo znieruchomieli obydwoj, jeden z tych w dole przykucnął nad sadzem, zwracając mimo woli twarzą ku brzegowi, o kilkadziesiąt kroków od patrzących. Jan Orzepa sprzedawał ryby ściągnięte z cudzych haków... transakcja odbywała się spokojnie, widać nie pierwszy raz, nie targowali się, nie spieszyli, Orzepa liczył pieniądze, kupiec skręcał papierosa. Kim był kupiec? Anastaziuk napróżno wysiłał pamięć nie mogąc się pozbyć wrażenia, że skądś zna tego człowieka, że się gdzieś z nim zetknął, zresztą, prawdę mówiąc, w pierwszej chwili obydwoj z Antonim stracili głowy.

– Co robić? Zbiec po usypisku w dół? Nie da rady, trzeba by okrążyć cypel, może krzyknąć, dać się poznać?

– strażników, wyszeptał Anastaziuk, strażników tu na nich i milicję, a to bydlak, tu muszą być murowane dowody, bo łajdak ma obstawę, gdzie się obróci. – Zachowując największą ostrożność zawrócili w głąb wyspy, Antoni popłynie natychmiast na punkt kontrolny i zaalarmuje, kogo trzeba, a Anastaziuk wróci na dawne miejsce i ustali kierunek tamtych łodzi. W zdenerwowaniu i pośpiechu zboczył nieco w lewo, nim odnalazł drogę na wyniosły cypel, zatoczka była pusta, jakby obydwie łódki zdmuchnął wiatr, albo wsiąkły w podnoszący się na horyzoncie różowy brzask.

Do wieczora zmitrężyli na jałowych gadaniach z dowódcą posterunku M.O. szefem WOP-u, z sekretarzem komórki partyjnej, w gminie i z przedstawicielem Powiatowej Rady Narodowej ze Szczecina... tymczasem cała Kruszyna wiedziała już, że wybrano ryby Górcę i Macoszki. Złodziej przeciął sznur z bojką i wywlókł aż pod wyspę. Węgorze musiały iść ciasno, bo inni mieli piękny odłów.

Anastaziuk nie mógł sobie darować poniesionej klęski. Złożyli z Antonim meldunki we wszystkich możliwych urzędach, jeździli do Trzebieży i do Morskiego Urzędu Rybackiego w Szczecinie, i do Centrali w Gdyni, podpisywali protokoły, odpowiadali na dziesiątki pytań, legitymowano ich, ale to wszystko nie posuwało sprawy o włos. Anastaziuk coraz częściej myślał o sprawie Jaskólskich, ale coś mu nie pasowało jedno do drugiego: i wtedy i teraz raczej były przeciwko Orzepie, a ten, jakby nigdy nic, plątał się po przystani, wysiadywał w Gospodzie Ludowej, stręczył i puszył – znak, że ktoś bardzo duży osłaniał łobuza, ale z Jaskólskimi szło o dom, ogród, meble, pościele, a teraz? Złodziej ryb z cudzych sieci? Parszywa mała gnida mówią: dygnitarzy ma za sobą, nie tkaj palca między drzwi, a jakież to dygnitarz zastawiałby sobą, dociekał Anastaziuk, takiego gównianego plugawca? Toć dygnitarze i ich protegowani mogą sobie pozwolić na każdą aferę, na wielkie złodziejstwa...

Przesłuchiwali co prawda i Orzepę, ale efekt był tego niewielki, tyle, że któregoś dnia zjawił się u Anastaziuków służbowo sam obywatel sierżant M.O. i pokręciwszy się po podwórku najpierw zapisał grzywnę za nieuwiązanie psa, następnie przyczepił się do nie wybielonego kurnika, by na koniec, „poufnie i z życzliwością”, jak powiedział:

– jak się ma swoje lata, a rozumu tyle, co nieletni szczeniak, to najlepiej cicho siedzieć, nie róbcie, Anastaziuk, za dużo szumu, bo was uciszę, mądrzejsi od was podskakiwali no i co? Dalim im radę, Polska Ludowa młodych gierojów potrzebuje, a nie starych pierdów, zrozumiano? A psa macie wiązać, bo taka ustawa jest, cóż to? Ustawy nie znacie? I kurnik wywapnucie do tygodnia, sprawdzę. Wyrzucali sobie wzajem z Antonim, że pokpili sprawę.

– Nasza wina, powtarzał Antoni, trzeba było drani przytrzymać siłą, jakbyśmy mieli ptaki w garści byłby dowody i jakaś sprawiedliwość musiałaby się znaleźć.

– Dali to byśmy radę? Zdzieliłby cię przez łeb wiosem i tyle byś ich natrzymał, a co do sprawiedliwości, to znajdziesz ją w niebie. –

– Banda przeklęta, ale ja się tak urządzę, że go dostanę, zobaczysz Józef.

Wielu zaczęło czatować na własną rękę, ale złodziej był nieuchwytny, mimo, że jak dawniej ryba od czasu do czasu zniknęła z haków i sieci.

Aż w przeddzień Pierwszego Maja, kiedy na rynku montowano głościki i rozwieszano transparenty i flagi, zdarzył się wypadek, który poruszył wielu. O wczesnym zmierzchu wracał Antoni Palenica z przystani do domu, nagle, z za rogu wyskoczył motocyklista i potrafił idącego, rybak upadł twarzą do jezdnii, i po tygodniu umarł w szpitalu w Szczecinie, nie odzyskawszy przytomności. O tym na motorze nikt niczego nie umiał powiedzieć. Absurdalność tej głupiej, strasznej śmierci ugodziła Anastaziuka głęboko. Pochodzili z jednej, podkarpackiej wsi i mimo znacznej różnicy wieku, byli sobie bliscy, jak bracia. Antoni miał 46 lat, był zdrowy, silny, pracowity, ufny i szczery jak dziecko, nie miał

wrogów – a tu, masz, śmierć wyskakuje z uliczki, żadnego sądu, żadnej kary, bo zbrodniarz miał motor, a ten nie mógł krzyżeć, nie mógł gonić, bo leżał nieprzytomny.

Przyszło wreszcie lato gorące i suche, woda Zalewu Iłniła w słońcu, jak rozścielona mora pawiego koloru. W przystani dzień i noc panował ruch, a na punkcie skupu trzeba było długo wyczekiwać na swą kolejkę przy wadze, bo ryba szła ciasno i połowy były nadspodziewanie obfite.

Anastaziuk długo się zastanawiał nim zdecydował, że zerwie z Ernestem.

– Uważajcie Józefie, toć to sekretarz, partyjniuch zasiedziały, będzie się mścił, przestrzegali, co życzliwsi, ale on się uparł, – co mi tam za niewola na stare lata, dla kogo harować? dla kogo właśnie? dla szubrawca, co się już tak rozpanoszył, że się nawet ze swymi szachrajstwami i kręctwem nie kryje, a że sekretarz? Ja nie partyjny to on dla mnie prywatna osoba. –

Tego dnia, zaraz po zdaniu ryb w Centrali Skupu, wybrał się do Kąkola. Załadował skrzynie z węgorzami i noga za nogą powlókł na Rzeczną. Od wielu lat, robotnicy Ernesta mieli zapowiedziane, że po każdym połowie, rybę należy jeszcze na kutrze, starannie posortować i tylko drugi gatunek zgłaszać na punkcie skupu, a resztę natychmiast odstawiać do niego, na Rzeczną, gdzie była potajemnie wędzona i wywożona nie wiadomo przez kogo i gdzie. Za każdym razem Anastaziuk, ciągnąc wózek na Rzeczną przeżywał głęboką rozterkę i zżymał na siebie za to współuczestnictwo w dokonującym się oszustwie, którego zresztą dopuszczali się prawie wszyscy rybacy, za tę łatwą tolerancję, ale nie umiał się zdobyć, i nad tym właśnie cierpiał, na nic więcej, jak na uczucie pogardy dla własnej bezsilności. Nie lubił zmian, łatwo przyzwyczajał się do ludzi i sytuacji, instynktownie unikał niepokoju, był stary, niedługo kończył 70 lat, i coraz częściej, szczególnie po ostatnich wypadkach, zdawało mu się, że żeby tam nie wiem co, nie zmieni świata. Ale tym razem, zawziął się – koniec, nareszcie się pożegnamy towarzyszu sekretarzu, obrzydeś mi ze szczętem, twój obleśny pysk, twoje fałszywe gadanie. –

Ledwo dał radę wciągnąć ładunek pod górę. Przed budynkiem MUR-u<sup>3</sup> zatrzymał się na ławce w cieniu rozłożystej tui, by chwilę odpocząć. W ogródku kontrolera kwitły peonie i nagietki, a żółta, czerwona i rdzawa nasturcja wspinała się na płot i czołgała po ścieżce, znacząc swój ślad płomykami kwiatów. W nagrzanym powietrzu brzęczały monotonnie owady, przez otwarte okna słyhać było płacz dziecka i stukot kołyski, było sennie i duszno mimo ранней godziny. Z lekkiej drzemki wyrwał Anastaziuka odgłos bliskich kroków, otrzeźwiał natychmiast, a myśl o kontrolerze, który nadchodził (o węgorzach i Erneście wiedział, że to od dawna uzgodnione i opłacone) przywiodła mu na pamięć Kartę Rybacką, której termin odnowienia był już bliski, a co mu ciągle zasłaniały inne, pilniejsze sprawy. – Trzeba to załatwić – postanowił ostro – bo po rozstaniu z Ernestem, ani się pokaż na wodzie, już on tam napuści wopistów, żeby przymknęli. – Wytarł z potu kark, czoło i policzki, z niechęcią popatrzył na skrzynie, piętrzące się na wózku, spaste, szarobiałe węgorze, śliskie od szlamu wiły się, skręcały, był w nich jakiś tępy półmartwy, cichy niepokój. Przypominały mu się natychmiast skrzynki z piaskiem pełne różowych, tak samo rojących się niemrawo dżdżownic, które od świtu do nocy nadziewała żona na haki, poczuł nawet ohydny zaduch wypełniający ich kuchnię, nigdy nie mógł na to patrzeć bez obrzydzenia, otrząsnął się, chwycił dyszel i powlókł drogą zalaną słońcem.

U Kąkolów okiennice od ulicy były jeszcze pozamykane, ale w podwórzu krzątał się parobek, więc razem skrzynie znieśli do szopy.

– Jest sekretarz?

– Musi som, zajrzyjcie do pokojów, gości mieli wczoraj do późna, kino przyjechało, sportowcy mecz mieli, wiecie przecie, o tego Lenina się rozchodzi, dziś akademie będzie w Domu Rybaka, ze Szczecina przyjeżdżają, sam afisze rozlepiełem. –

---

<sup>3</sup> Morski Urząd Rybacki

Mieszkanie było rozdzielone obszerną sienią na dwie części, i jak wszystkie domy rybackie w osadzie, składało się z parteru i pięterka i jak wszystkie, było przesiąknięte wonią ryb. Anastaziuk uchylił drzwi do „gościnnego” i zawołał w kierunku wewnętrznych schodków:

– Panie Kąkol, ryby przywiozłem!

– No to i dobrze, Paweł wam pomoże ważyć, jak polecało? – odkrzyknął mu schrypnięty głos,

– niegorzej, już są w szopie, ale ja mam do pana sekretarza interes, i to pilny

– interes? – Minął dobry kwadrans nim się Ernest wygrzebał z pierzyn i zszedł na dół, pchnął okna, że się otworzyły razem z okiennicami, pokój wypełnił się natychmiast światłem dnia i upałem. Na stole stały resztki wczorajszego jedzenia i picia, Ernest niecierpliwie odsunął naczynia i zaczął notować wyniki dzisiejszego połowu:

biała ryba – 120 kg

węgorz – 218 kg

– grubego?

– osiemdziesiąt

– ważone? – upewnił się jeszcze raz,

– ważyliśmy z Pawłem.

– Nikt was tam specjalnie nie widział, jak wieźliście? Trzeba ostrożnie, bo już za głośno szczekają, kurza ich nędza, cóż to, spałem z tą całą Centralą, że ma do mnie prawo? Mój kuter? Mój! Płacę ludziom? płace. I podatki? I wszystko co należy? To niech mnie całują w tyłek – zapomniał o swym sekretarstwie, o dyrektywach partii, o pouczeniach towarzysza Gomułki, o tym, że winien być „żywym symbolem i wzorem idei leninowskiej”, poczerwieniał i zaperzył się niczym indor. Po wczorajszym pijaństwie męczyła go czkawka, bolała wątroba, był niedospany, a co najważniejsze dowiedział się od jednego kumpla, że Raczek złożył na niego donos w Kom. Woj. w Szczecinie, wiernuś cholerny... Anastaziuk przysunął się do stołu i usiadł, niedawne wahanie i niepokój ustąpiły bez śladu, nawet zmęczenie go opuściło. Ernest sięgnął po niedopitą butelkę śliwownicy i dwa kieliszki.

– Najzdrowiej z samego rana, pomyślności! – ale Józef odsunął wódkę, – najpierw interes, chciałbym się z wami rozliczyć, panie Kąkol – gospodarz nie zrozumiał, – a bo to dziś sobota? coś się wam od gorąca pokręciło. –

– Czwartek, ale to nie ważne, chciałbym się rozliczyć, bo odchodzę. – Ernest w roztargnieniu wypił obydwie nalane kieliszki – odchodzicie? –

Anastaziuk, mimo swych lat, był doskonałym rybakiem, pracowitym, uczciwym, zdatnym do każdej roboty, od wiązania sieci po remont motorów, przy tym, tak na prawdę, pracował za pół darmo, bo Kąkol, choć bogacz, trząsał się nad każdą złotówką, więc nie w smak mu było pozbywać się starego, szczególnie teraz, kiedy sezon był w pełni. Pohamował więc napierającą złość i rzucił pojednawczo:

– Zwariowaliście do szczętu, krzywda wam, czy jak? Toć możemy się ugodzić, dziś nie te czasy, co to wyzysk człowieka przez kapitalistę, nalał i wypił trzeci kieliszek, odbiło mu się, wytarł wargi wierzchem ręki – przecież szanuje się sprawiedliwość społeczną, kto was tam znów zbajerował? Raczka robota, przemknęło mu w mózgu, jak dobrze poleci, dorzucę dwie-trzy stówki, albo się wystąpi do ZBOWIDU o zapomogę, przecieście siedzieli w Stalagu, to się wam należy bo sami wiecie najlepiej jak to na wodzie, ryba to ryzyko, ale przecieź ostatniego słowa nie powiedziałem. –

– Wyrychtowałem sobie łódź motorową i będę łowił dla siebie – nie wytrzymał Anastaziuk.

– Dla siebie? – Ernest zakrzuszył się następnym kieliszkiem, wybałuszył oczy, na czole załśnił mu pot, – to tak, kurza nędza, dla siebie? Patrzcie no tylko, przedsiębiorcem sobie wychował, z własnym kutrem, a na kim tak się dorobiliście? Na Kąkolu, co? – gorąco, wódka i złość uderzyły mu do głowy,



podniósł się gwałtownie i zasyczał Anastaziukowi prosto w twarz: – a może to ty naszczekałeś, gdzie trzeba, co? Znam was, żebractwo przeklęte, dedektywy, kurza ich nędza, ale nie sięgniesz mnie draniu!

– Milcz!

– Won! Fora ze dwora, idźcie na ten lekki chleb, udławicie się nim rychło, ale do mnie się już nie wracajcie, ani do Komitetu, ani dziś, ani za rok, idźcie w diabły i w cholere, łaskę mi parszywiec wyświadczał, widział to świat i ludzie... resztkę wódki wysączył wprost z butelki, teraz szyję i policzki pokryły mu ciemne plamy, dyszał ciężko. W sieni zaszurały kroki i Paweł zapowiedział, stając w półotwartych drzwiach:

– Towarzyszu Sekretarzu, towarzysz kontroler przyšli. – Anastaziukowi przypomniało się spotkanie koło MUR-u i ryby w szopie i poczuł się nieswojo, ale Kąkol widocznie był pewny swego, bo nawet okiem nie mrugnął wychodząc do gościa. Anastaziuk zatrzymał się na progu sieni, tak, to był rzeczywiście kontroler, ale nie kruszyński, a z Cudnowa i chyba nie służbowo przyszedł, bo ucieszyli się sobą, on i Ernest, jak przyjaciele. Nagle stary osłupiał, słowa powitania zamarty mu na wargach, o krok stał wspólnik Orzepy. Ależ tak! Oczywiście! Tyle, że owego przedrania nie miał na sobie munduru a znoszone waciaki i wysokie gumowe buty rybackie. Minęli go, trzasnęły drzwi od „gościnnego”. – To taka sitwa? Ach, bydlę, a i ty idiota, z motyką na słońce – czuł się jak obity pies.

Niespiesznym krokiem minął Rzeczną, Kościelną, Wałową, jak we śnie trafił do przystani i, niby automat, powędrował dalej piaszczystym brzegiem nie czując już ani zmęczenia, ani gorąca, nie patrzył na ludzi, nie chciał słyszeć ich głosów, musiał być zupełnie sam.



Zima przyszła już w połowie listopada, a w grudniu Zalew, jak okiem sięgnąć, pokrywa lód. Wyspy zbliżały się do lądu i zmalowały, wszystko naokoło, ziemia i niebo, drzewa i domy, kutry wyciągnięte na brzeg, jakby skurczyło się i zeszywniało od zimna.

Była jeszcze głęboka noc, gdy Anastaziuk wybrał się do Szczecina. Wysoko skrzyły się gwiazdy, w ich martwym blasku okruchy śniegu zapalały się i natychmiast gasły. Józef miał liche buty i dobrze przetartą fufajkę, to też jeszcze w jesieni nabyty kaszel nie chciał ustąpić i męczył go nieustannie, a w piersiach rwało, jakby kto szczypcami ciągnął. Szedł ostrożnie, bo śnieg wyślizgany za dnia przez dzieciaki był gładki jak lód. Na stacji czekała już gromadka ludzi z osady i okolicznych gromad. Anastaziuk przysiadł w kącie wyziębionego baraku i myślał swoje. Od lata, od owej pamiętnej rozmowy z sekretarzem napróżno zabiegał o odnowienie Karty Rybackiej, a bez niej bał się wypłynąć na Zalew. Łatał razem z żoną i pasierbem cudze sieci, pomagał u wędzarzy, wynajmował się jako tragarz w punkcie Skupu, sortował ryby, wieszał przy czym mógł, ale nie rezygnował, nie zrażał się niczym, obiecywał sobie cierpliwość.

Morski Urząd Rybacki mieścił się przy ulicy Zygmunta Starego, więc aby się doń dostać, trzeba było przejść kawał miasta, mimo to Anastaziuk był przed gmachem urzędu na długo przed jego otwarciem. Biura były obszerne z dywanami i obrazami, z kolorowymi zasłonami u okien, zastawione wygodnymi fotelami. Wszędzie pachniało farbą olejną i pastą do podłóg, bo dopiero co wykończono coroczne remonty.

I tym razem przyjechał w sprawie owej Karty Rybackiej. Sekretarka piła herbatę, na biurku uprzątniętym z papierów, oparty o maszynę do pisania leżał „Głos Szczeciński”, panienska jadła ciastko drożdżowe, popijała herbatę i czytała gazetę. Józef wyczuł że jej przeszkadza, stanął w progu i czekał, wokół jego dziurawych butów rozsiała się zwolna kałuża z topniejącego śniegu i to go jeszcze bardziej onieśmiało. Kiedy skończyła śniadanie i zmiotła okruszyny ręką na dywan rozestany wokół biurka, sięgnęła po puderniczkę i zajęła się własną twarzą.

– Ja znów u pani – odezwał się wreszcie, ostatnim razem kazała mi pani przyjechać za dwa tygodnie, to jest akuratnie dzisiaj. – Udała że nie słyszy, że to nie do niej, schowała puderniczkę do torebki, torebkę do szuflady biurka i wróciła do czytania gazety. Powtórzył swoje głośniejsz, zbliżając się nieśmiało do biurka. Nie podniosła głowy, – o co wam chodzi? – burknęła z niechęcią.

– Jakto, o co? o moją Kartę. Nazywam się Anastaziuk, Józef Anastaziuk, z Kruszyny, trzymacie ją pół roku, toć na same przejazdy wydałem ze 200 złotych, a mitręzenie czasu, a straty na łowieniu? Kazała mi pani przyjechać za dwa tygodnie... –

– To ciągle jeszcze o tę Kartę się wam rozchodzi? coś sobie przypominam, a odpowiednią dokumentację złożyliście, znaczy się dokumenta z partii, to jest z Gminnej Rady Narodowej i z M.O. i z WOP-u i z miejscowego oddziału MUR-u, no wogóle wszystko?

– No jakże? jeszcze w lipcu tamtego roku, toć rybaczę nad Zalewem dobre 20 lat, to mnie nauczyli co i jak.

– Karta Rybacka, no tak, wiem, ale Karty są u pana Naczelnika, a towarzysza Naczelnika nie ma, jest na naradzie w Komitecie. Przyjdźcie jutro, najlepiej w południe – wyłączyła niecierpliwie dzwoniący od dłuższego czasu telefon i wróciła do przerwanej lektury. Anastaziuk znał się już dobrze na tych ich wszystkich kruczkach, udał pokorę:

– Jutro? choćbym chciał nie mogę, właśnie jutro cała Kruszyna odrabia zadeklarowaną dla uczczenia Roku Leninowskiego dniówkę, wyrąbujemy z lodu spółdzielcze kutry. Niech już tam pani będzie taka grzeczna i załatwi, bardzo upraszam, a jak się pokaże biała ryba to świeżutkiej przez chłopaka podeśle ile wola... –

– Kiedy towarzysza naczelnika nie ma, przecież wam tłumaczę, zapóźnoście przyszli, był, ale wyszedł –

– Zapóźno? toć tu byłem przed otwarciem – zaczęli się przekonywać wzajemnie, wreszcie panienka dała się ubłagać i stanęło na tym, że około drugiej naczelnik może już będzie, bo właściwie to jest, ale ma konferencje. – Przyjdźcie tak, za piętnaście druga –.

Z przyzwyczajenia zajrzał na Parkową do Składnicy Złomu, obejrzał nylonowe sieci w Centrali Zaopatrzenia, zastrzeżone dla Spółdzielni, popytał o narzędzia i części do motorów, ale nigdzie nie znalazł tego co było mu potrzebne, zbywany niezmiennym: „ma nadejść, czekamy, zaglądnicie”... Śródmieście wystrzelało tu i ówdzie wielopiętrowym blokiem. Stare, piękne drzewa alej i parków ogołoczone z liści wyglądały smutno. Za to wystawy ustrojono portretami i gipsowymi popiersiami Lenina. – Z każdej witryny przyglądał się przechodniom Wielki Nauczyciel otoczony roześmianymi dziećmi, robotnikami, karmiący gołębie, wśród kwiatów, na tle gór w rozwianym płaszczu, w czapce, bez czapki, z uniesionymi dłońmi, na tle sztandarów, na rowerze, w towarzystwie żony i sam – pochylony nad książkami... Cały parter Domu Książki przy Placu Zwycięstwa przeznaczono na wystawę dzieł Genialnego Twórcy, ogromne afisze ogłaszały programy „impres stulecia” na cały rok, gmach Komitetu Wojewódzkiego był, dosłownie, spowity w krwistoczerwone flagi. Anastaziuk chciał jeszcze popatrzeć na port z Wałów Chrobrego, ale naraz zobojętniało mu i wyziębione miasto i ożywiony ruch na jezdni i stręcząca się oczom natrętnie postać Wodza Socjalizmu.

W poczekalni wiodącej do gabinetu Naczelnika, czekało już kilkunastu interesantów. Byli i znajomi z Nowego Warpna, z Cudnowa i Wolina. Pogadywali o niczym, żeby skrócić czas czekania. Anastaziuk wszedł do Naczelnika ostatni.

– O co wam chodzi?

– O moją Kartę, czekam już pół roku, panie Naczelniku.

– Żadnej Karty nie dostaniecie, nie macie co tu więcej łązić.

– Jakto panie Naczelniku?

– Nie ma dla was Karty, zrozumiano? Nie ma i nie będzie, jasne? – krzyczał jeszcze przez chwilę o tym, że „skończyły się dobre czasy”, że MUR zna „takich mącieli i przyczajoną reakcję”, że władze „dosyć mają rozrabiactwa”! –

Anastaziuk sam nie wiedział jak i kiedy znalazł się przed budynkiem Urzędu. Jakiś czas stał na ulicy, aż w pewnej chwili uświadomił sobie, nie bez pewnego zdziwienia, iż mimo to co go spotkało i wszystko, co z tego jeszcze wyniknie, jest zupełnie spokojny. Lodowaty, suchy wiatr wiejący od bliskiej Odry chłodził mu twarz, oddychał głęboko chłonąc jego ostrą pieśczętę. Niebo już się zaciągało wczesną, zimową czerwień zachodu. Bulwar schodzący tarasami ku rzece lśnił śniegiem niby posypany tłuczonym szkłem. Wcisnął czapkę na uszy, naciągnął rękawice i nie spiesząc się poszedł ku rzece. Teraz, dopiero teraz uwierzył we wszystko o czym szeptano w Kruszynie od dawna: o Orzpie, że go wyrzucili ze Szczecińskiej Fabryki Motocykli, bo za dużo razy złapali na kradzieży wymontowywanych z motorów części, że miał sprawy o gwałcenie nieletnich, włamania, że to on był *mordercą* i Jaskólskich i Antoniego, ale że pracował dla Bezpieki ze wszystkiego umiał się wywinąć, co najwyżej zapadał na jakiś czas w byle miasteczku czy osadzie by wypłynąć kiedy był potrzebny Władzy, jak i teraz – już go nie ma w Kruszynie, pojechał do Wietnamu jako instruktor polityczno-wychowawcy zmotoryzowanych drużyn ochotniczych... albo o cudnowskim kontrolerze, też dobrym Ubiaku, już ma przeniesienie do Gdyni na zastępcę dyrektora Centrali... albo o Erneście, w czasie okupacji nazywał się Knohl i był wiernym Niemcem... uwierzył i zrozumiał ostatecznie, dlaczego tacy na wszystko pójdą, na najbrudniejsze przedsięwzięcie, połaszczą na zeszcłe świńskie łajno i oni i ich protektorzy-dygnitarze, jeden drugiego wart, z tej samej robaczywej gleby wyrosli.

W dole piętrzyła się krą Odra. Czuł że odżywa w tym pięknym mroźnym przedwieczeru, czuł przyływ sił, przyływ życia. Obrócił się ku miastu, zapadające naprzeciw łasztowni słońce, olbrzymia rumiana kula, otaczało go swą zmierzchającą złocistością niczym nadzieja, spowijało, przenikało w głąb. Osaczyły go wspomnienia, obrazy podobnych zachodów, wędrówek po wiejskich drogach, po zmarzniętej ziemi, dzwoniącej pod stopami, połowów w przerębłach stawów, jazda saniami przez las, wszystkie dobre rzeczy istnienia, które kochał, nie uświadamiając sobie tego nawet, wracały mu na pamięć, rodziły nowe pragnienia, budziły energię

Przepędzili go, jak żebraka, a on czuł się oswobodzony od lęku i niepewności, uratowany, należący do tych, którzy zachowali sumienie. Nie umiałby tego sformułować nawet w najprostszych słowach, ale pojmował, że każda decyzja, każdy wybór jest aktem moralnym, czymś, za co każdy osobiście ponosi odpowiedzialność i że nikt nie jest zwolniony od zdania rachunku za najmniejszy współudział w gwałtach i zbrodni.

– A bo tom się rybakiem urodził, pomyślał prawie wesoło, i daleko od wody ludzie żyją. W góry wrócę pracować jeszcze, dzięki Bogu, mogę wszędzie, niech się cieszą kanalie.

Skręcił ku Kapitańskiej, bo przypomniał sobie, że tam, na rogu jest portowa knajpka, a on miał ochotę na setkę czystej.



Maria Antonina BONIECKA

(„Nad Wodą”/ WIADOMOŚCI Nr. 1347, 23rd January, 1972)